№ 6. Warszawa, dnia (30 Stycznia) 11 Lutego 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25, półrocznie . „ 2.50, rocznie . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Księgarnia Polska Plac Maryacki 11; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego.
W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.
Za zmianę adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Młodzieniec był bardzo szczupły, o drobnej, prawie dziecinnej, twarzy. Rzadkie, nigdy jeszcze nie golone włosy, strzępiły się na jego brodzie i po obu stronach twarzy. Z małego, ostrego nosa spadały mu nieustannie binokle, które przy pisaniu, lewą ręką podtrzymywał.

Zajadły ten czytelnik odznaczał się wielką, nerwową ruchliwością. Kręcił się nieustannie na krześle, chwytał co chwila za inną książkę, z błyskawiczną szybkością wodził piórem po kajecie, wreszcie co chwila z kieszeni od kamizelki wyjmował i chował płaski, srebrny zegarek bez łańcuszka.

Przy tem wszystkiem nie zaniedbywał jeszcze wyglądać oknem na dziedziniec i rzucać piorunujących spojrzeń na zegar, którego zbyt głośne szczękanie mąciło ciszę czytelni.

Wanda nie wiedziała jaki rodzaj uczucia pociąga ją do tego młodzieńca; zajmował ją jednak, i w przyglądaniu mu się znajdowała przyjemność.

Nagle młodzieniec uniósł się cokolwiek i przez stół wyciągnął do niej rękę, podając jakąś grubą książkę.

— Wszak to wam potrzebny był „Dykcyonarz Biograficzny?“ — zapytał głosem miłym, ale zbyt cienkim na człowieka posiadającego zarost.

Wanda zmieszała się nadzwyczajnie i zapłoniona po uszy, nic nie odrzekła.

W tejże chwili z innego miejsca odezwał się głos kobiecy:

— Dajcie—to dla mnie...

Ręka z książką zwróciła się w innym kierunku. Książkę zabrano i znów poprzednia cisza salę zaległa.

Wandę, choć nie była hołdowniczką tak zwanych „form towarzyskich,“ zdziwiło, że przy tem całem *intermezzo* nie usłyszała wcale słów: „proszę,“ „przepraszam“ i „dziękuję.“

Zrozumieć też nie mogła, dlaczego ów nieznajomy pan mówił do niej: „wy.“ Miałżeby zamiar jej ubliżyć? Za co? Nie, to prędzej pomyłka. Ale i tamta panna czy pani powiedziała do niego „wy.“ Może to należy do zwyczajów tutejszych? Dziwne bądź co bądź, zwyczaje...

W tej chwili przyniesiono jej książki. Zagłębiwszy się w czytaniu, o wszystkiem zapomniała. Gdy po dłuższym czasie schyloną głowę podniosła, miejsce naprzeciw niej było próżne.

Zapełniła kajet notatkami, i prawie ostatnia opuściła czytelnię.

Wracała do domu jak odurzona. Ruch uliczny słabo na nią oddziaływał; ale hipotezy dotyczące natury księżyca, szumiały jej w głowie jak wino. Nie była w stanie myśleć o czem innem.

Obiady jadała u Brzeskich. Było to dla niej z podwójną korzyścią. Oszczędzała najpierw pieniędzy i zdrowia, następnie, razem z ciałem krzepiła i ducha, bo rozmowa przy stole dotykała zawsze poważnych naukowych przedmiotów.

Brzeski był nauczycielem języków i literatury powszechnej, a potrosze i autorem. Jakkolwiek specyalność jego była mało zajmującą dla Wandy, samo towarzystwo wykształconego człowieka przyjemność jej sprawiało.

Więcej jeszcze przyjemności i korzyści czerpała z rozmów z Brzeską. Pani profesorowa była ex-studentką. Przez dwa lata studyowała w Genewie medycynę. Gdy była na drugim kursie, poznał ją podróżujący po Szwajcaryi Brzeski. Poznał, pokochał, zaprowadził do ołtarza i do kraju wywiózł.

Brzeska nie żałowała przerwanych studyów, lubiła jednak rozprawiać o swej niedokończonej kampanii z retorycznym zapałem rekruta, który zdaleka prochu powąchał.

Do obiadu siadało wreszcie kilku stołowników, przeważnie studentów uniwersytetu. Ci byli zawsze szalenie głodni, zakłopotani i śpieszący się. Rzadko który do rozmowy się mieszał; najczęściej zachowywali się jak głuchoniemi, marszcząc poważnie czoła przy wesołym nastroju rozmawiających, lub też, najniespodzianiej w świecie, wybuchając śmiechem, gdy rozmowa dotykała przedmiotów poważnych.

Czasem jednak i ta młodzież wpadała w zapał retoryczny. Zapał ten objawiał się zwykle bardzo głośnem powtarzaniem wysłuchanej przed kilku godzinami lekcyi, niekiedy zaś dochodził aż do wygłaszania własnych teoryi, chaotycznych w układzie.

Tego dnia, jakby ulegając suggestyi Wandy, wszyscy rozmawiali o księżycu. Rozmowa nie wychodziła poza sferę ogólników. Pewnego zajęcia dodał jej dopiero jeden ze studentów, który, zająkując się i trąc silnie ostrzyżoną głowę, oświadczył, że jest lunatykiem.

Wandę oświadczenie to nadzwyczaj zajęło. Wierzyła ona we wpływ księżyca na całą ziemską przyrodę; nie mogła wątpić o wpływie jego na człowieka.

Była ciekawa szczegółów; wypytywała młodzieńca ze skrupulatnością lekarza, który bada chorego. Chciała wiedzieć: kiedy, odkąd, jak często, w jakiej formie i w jakich okolicznościach doświadcza on napadów sonambulizmu. Choć młodsza od badanego, przybierała ton pewnej, umysłowej wyższości, któremu tamten z pokorą się poddawał.

Kolega studenta, prawnik, był sceptykiem. Powątpiewał on zawsze i o wszystkiem i —

wedle wyrażenia Brzeskiego — dawał wiarę temu tylko, co przez dwóch wiarogodnych świadków zostało zaprzysiężone. Był to znakomity materyał na sędziego wogóle, a przedewszystkiem na sędziego śledczego.

— To są, panie, średniowieczne, panie, zabobony — mówił prędko, wymachując widelcem. Człowiek, panie, albo jest panem swoich, panie, czynności, albo nim, panie, nie jest. W pierwszym, panie, wypadku, nazywamy go poczytalnym, i zmuszamy, panie, do odpowiedzialności za wszystko, co robi; w drugim—uważamy go za chorego i pakujemy, panie, do szpitala. Wpływ księżyca! lunatyzm!—pyszne, panie, bajeczki i wyborne wykręty dla przestępców. Taki pan okrada, panie, kogoś, albo go, panie, zabija, a potem mówi nam, że to zrobił, panie, w przystępie sonambulizmu. Księżyc, panie, winien — dowodzi — nie ja. Zupełnie, panie, jak Piękna Helena, co wszystko składała na „fatalność!"

— Ależ pozwól, kolego...—błagał tamten.

— Nie, panie, nie pozwolę! Dość już, panie, mamy tych nudnych teoryjek niepoczytalności. W końcu urząd prokuratora stałby się, panie, synekurą, a sędziowie zaprzestaliby, panie, sądzenia.

— Nie o to chodzi...

— Właśnie, panie, że o to. Kto przyznaje się, panie, do tego, że go księżyc za nos wodzi, ten sam sobie wystawia, panie, *testimonium paupertatis*. A co się, panie, tyczy lunatyków, to wiadomo mi doskonale, że większy, panie, wpływ wywiera na nich, panie, piwo „Pod Księżycem," niż sam księżyc.

— Kolego!.. Będę zmuszony żądać od kolegi albo dowiedzenia, albo odwołania tej kalumnii...

— Dobrze, panie, ale kolega odwołaj wpierw, panie, swoje bajdy o lunatyzmie!

Śpieszył na jakąś sesyę, której miał być honorowym sekretarzem, wstał więc prędko od stołu i wyszedł.

Po jego odejściu, tamten swobodniej rozpowiadał swe przypadłości, które Wanda pilnie notowała w pamięci.

Potem przyszła kolej na innych. Do tego archiwum materyałów, które gromadziła, każdy musiał dorzucić coś swojego.

Brzeski oświadczył, że światło księżyca wywiera nań wpływ wielki. Usposabia go — jeśli można tak się wyrazić—„poetycznie," to znaczy: pokazuje mu rzeczy tego świata w jakimś innym, piękniejszym i subtelniejszym kształcie.

Mówił dalej, że przy słońcu jest zwykle rzeźki i wesoły, księżyc zaś czyni go zawsze marzycielskim i melancholijnym. Sądził dawniej, że to wynik wyłącznie optycznych właściwości promieni księżycowych, ale przekonał się, że tak nie jest. Są pewne rodzaje światła sztucznego—naprzykład światło lamp elektrycznych systemu Jabłoczkowa—którego promienie, pod względem optycznym, niczem się nie różnią od promieni księżyca, a jednak wpływ ich na niego jest zupełnie inny.

Na wszystkie organizacye nerwowe, a więc przedewszystkiem na artystów i poetów, księżyc silnie oddziaływa. Są między nimi i prawdziwi Gwebrowie, zapaleni czciciele i miłośnicy słońca; większości jednak nadaćby można miano „kochanków księżyca." Dusze wielu poetów podobne są do kwiatu lotosu, który otwiera się wówczas dopiero, gdy nań padną promienie księżycowe. Świat marzeń, wzlotów i przeczuć poetyckich, świat Szekspirowskiego „Snu letniej nocy," oświecony jest wyłącznie księżycem.

Brzeski przyniósł wielką Antologię i czytał wyjątki z poetów całego świata, ztwierdzające jego dowodzenia.

— Co się tyczy malarzy, rzeźbiarzy, muzyków i t. d. — ciągnął — to czyż nie mówimy o ich najlepszych utworach, że są „cudownie wyśnione?" Rzeźba ze swą białością marmuru i połyskliwem, zielonawem zabarwieniem bronzu, przedstawia postacie nigdy przez słońce nie oglądane, i które są w prostej linii potomstwem Nocy i Księżyca. Muzyki nie można uważać za nic innego, jak tylko za senne marzenie. Marzeniem też, ale cementem prawideł matematycznych i mechanicznych wzmocnionem, jest architektura. Ta ostatnia nic nie stwarza, przerabia tylko po swojemu kształty istniejące w naturze: kryształy, pnie drzew, ich gałęzie, korony, kwiaty i owoce. Wszystko to w jej przetworzeniu wygląda tak właśnie, jak metamorfoza rzeczywistości, dokonana przez fantastyczne i fantazyujące światła księżyca.

— A malarstwo? Zapomniał pan o malarstwie — zagadnęła Wanda, systematycznie i krytycznie słuchająca każdego.

— Malarstwo jest z pozoru sztuką najbardziej słoneczną. Duszę jego stanowi barwa, którą księżyc zmienia, przytłumia, lub nawet całkowicie pochłania. Cóż jednak znaczy walka, toczona przez malarzy z trudnościami prawdziwego, słonecznego oświetlenia? Walka ta nigdy dotąd nie zakończyła się zwycięztwem, i nigdy zwycięztwem zakończyć się nie będzie mogła. Widać ztąd, że na obrazach światło słońca jest złudzeniem, i chyba tylko symbolicznie da się przedstawić. O wiele szczęśliwsi są malarze w odtwarzaniu efektów nocnych, księżycowych. Najzarozumialszy z nich nie pokusi się o wymalowanie fali morskiej lub rzecznej, na którą ognista kula słońca rzuca miliony iskier i płomyków. Tymczasem nocne widoki morza, jeziora lub rzeki ze srebrzącą fale łuną księżycową, należą zawsze do najszczęśliwszych dzieł malarskich. I malarza zatem pociąga księżyc; i jemu bardziej swojsko w świecie zjawisk niezupełnie określonych i rozpływających się, niż wśród brutalnej, przemocą narzucającej się zmysłom, jawy.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Sprawozdania literackie.

Gerhart Hauptmann: Hanusia — przekład Konopnickiej.

Hauptmann powinien być zadowolonym ze swoich polskich tłómaczów. Najlepsze pióra podejmują u nas przekłady jego utworów. Niedawno panteistyczny „Dzwon zatopiony," dzięki Kasprowiczowi, ukazał się w szacie tak pięknego słowa, że możnaby go śmiało za twór oryginalny, nie za odblask jakiegoś obcego słońca poczytać, dziś leży przed nami „Hanusia" w tłómaczeniu Konopnickiej.

„Hanusia" to jedna z najpierwszych prac Hauptmanna, pierwsza, która zwróciła na młodego autora uwagę krytyki europejskiej.

Na jednej z naszych małych scen letnich grano przed dwoma laty „Hanusię" w przekładzie Zapolskiej, jeśli się nie mylę. Wystawa małego teatrzyku nie mogła jednak odpowiedzieć wymaganiom takiej sztuki, w której działającemi postaciami są przeważnie wizye. Tylko środki techniczne pierwszorzędnej jakiejś sceny mogą utrzymać umysł widza w takim nastroju, że tenże nie pozbawiając się świadomości, iż ma do czynienia ze światem hallucynacyi, podda się jednak jego urokowi, stanie na gruncie gorączkowych majaczeń Hanusi, o co właśnie chodziło autorowi. Życzyćby należało, żeby teatr Wielki lub Rozmaitości wystawił ten tragiczny poemacik.

Nigdy chyba jeszcze z tak prostego, z tak nieskomplikowanego pozornie motywu nie stworzono sztuki scenicznej. Bo i cóż to za osnowa? Hanusię, czternastoletnią dziewczyninę katował ojciec czy ojczym, pijak nałogowy. Udręczone dziecko rzuciło się do stawu. Wyciągnięto ją z wody, przyniesiono do przytułku, i tam w parę godzin zmarła. Oto wszystko!

Przypomnijmy sobie ciężką machinę hiszpańskich np. dramatów, te zawikłania, te kolizye namiętności, ten patetyczny ton! I cóż to za porównanie z tą ubogą, pospolitą treścią! A jednak Hanusia wzrusza. Przyznają to zarówno czytelnicy, jak widzowie teatralni. Wzrusza, bo autor zdjął zasłonę z duszy ludzkiej, sięgnął w jej nawet mniej uświadomione dziedziny, pokazał, co czuje, o czem marzy, jak cierpi taka mała nędzarka, taka bita, popychana, wzrosła w atmosferze występku, Hanusia.

Rzecz dzieje się w ubogiej wioszczynie górskiej. Rozpoczyna autor od sceny bardzo realistycznej, w przytułku dla ubogich. Żebraczki stare i młode, hultaje i dziady, stanowią towarzystwo, które też odpowiednimi epitetami darzy się nawzajem. Wchodzą Gottwald, nauczyciel wiejski i Seidel, drwal, niosąc na ręku drżącą z zimna Hanusię Mattern. Drwal wydobył ją z wody, gdzie wśród zimy szukała schronienia przed pięścią pijaka ojca. Kim jest ta wydziedziczona? To mała idealistka, która z otchłani nędzy i występku, jaką dla niej od początku było i jest życie, tęskni do nieba, do szczęścia, do piękna,

W jej organizacyi duchowej jest pierwiastek poetycki, dlatego też to jej chora duszyczka staje się twórczynią tego fantastycznego dramatu, który za chwilę zacznie odgrywać się przed oczami widzów.

W chwili, gdy przynoszą ją do przytułku, jest jeszcze przytomna, ale znajduje się w stanie egzaltacyi, tłómaczącym jej zamach samobójczy. Na zapytania władzy reprezentowanej przez wójta, dlaczego chciała utopić się, milczy uparcie. „Zawsze taka niemota— objaśnia świadomy jej położenia Seidel.—Już to źle musi z nią być, jak słowo piśnie. Jak to nieme jagnię! Akurat!“ Wyznaje wreszcie nauczycielowi, który jest jej pierwszem upodobaniem, że „Pan Jezus wołał ją na dno, we wodę!“ Lekarstw przyjmować nie chce: „Bo .. bo, bo — jabym tak chciała do matki!“

Wójt, nauczyciel, doktór, odchodzą—sierota pozostaje z zakonnicą, siostrą Martą. Rozpoczynają się hallucynacye. Bardzo umiejętnie traktuje tu autor swój przedmiot. Stopniowo owładają mózgiem dziewczyny tajemnicze moce, gorączkowe marzenia. Pierwsza wizya (postać ojca okrutnika) jest chwilowem tylko złudzeniem, rozwiewa ją jedno słowo zakonnicy. Ale wkrótce z większą już siłą narzuca się wyobraźni dziewczęcia. Straszna pijacka twarz, z klątwą na ustach, rzemień w ręku — widmo, które siłą przerażeń odbiło się na jej nieszczęśliwym mózgu, i teraz wprawia ją w drżenie, wypędza z łóżka, rzuca o ziemię. Po pewnym czasie marzenia jej inny przyjmują kierunek. Ukazuje jej się duch matki, przynosi kwiatki — kluczyki rajskie—kluczyki do nieba.

Tu zwrócić należy uwagę na głęboką religijność Hanusi. Faktem jest, że ubogim i nieszczęśliwym niebo wydaje się bliższem, niż tym, którzy tu na ziemi jakiś udział szczęścia i radości posiedli. Szalą pełną cierpień i bólów zrównać się musi droga zawieszona w zaświatach, szalą rozkoszy niebiańskiej. Jest to prawo równowagi, od którego umysł prostego biedaka odstąpić nie chce, i które jest jedyną jego pociechą. Hanusia pragnie nieba, bo też jak mówią ukazujący jej się aniołowie:

> Słońce na wzgórzach świecące
> Złota ci swego nie dało,
> Zielonych dolin kobierce
> Nie słały ci się do stóp!
>
> Pól żyznych kłosy srebrzyste
> Nie nakarmiły cię chlebem,
> Mleko trzód w bujnych pastwiskach
> Nie wyszumiało w twój dzban.
>
> Zioła i kwiaty tej ziemi,
> Słodyczy pełne i woni,
> Róż krasa, niebios bławaty
> Nie usypały twych dróg!

Więc pragnie nieba to małe, głodne i poniewierane stworzenie, ale ma obawy, skrupuły religijne? Czy chęcią samobójstwa nie zamknęła sobie doń drogi. Te kluczyki są dla spragnionej zakładem szczęśliwości wiecznej. Tu pochwycił Hauptmann bardzo zajmujący psychologów objaw, zdwajanie się osobowości. Hanusia sama obawia się kary Bożej i sama wynajduje sobie pociechę. Jej świadomości jednak przedstawia się ten wyrób jej mózgu jako zjawisko objektywne.

Drugą część sztuki wypełnia już w zupełności niemal świat wizyi. Postać zakonnicy zlewa się w wyobraźni chorej z postacią zmarłej matki. Widzenia następują po sobie z piorunującą szybkością, coraz gwałtowniejsze, coraz plastyczniejsze.

Czarny milczący anioł śmierci staje przed dziewczynką. Ona pragnęła śmierci, teraz lęka się jej.

Przy doskonałej maszyneryi scenicznej i odpowiedniem oświetleniu ten anioł mógłby sprawiać głębokie i wstrząsające wrażenie.

Te pytania dziecka: czy to już być musi? O! śmierci, czy ty mnie mocno uchwycisz? stawiają nam tak blizko przed oczyma krytyczny, przełomowy moment, czekający każdą istotę, która na świat przyszła, że dreszcz przejmuje czytelnika. Hanusi zdaje się, że umarła, widzi pogrzeb swój, zadowolona jest z sukienek kosztownych, w które ją przybrano, widzi smutek Gottwalda, wściekłość swego ojczyma, dzieci ze szkółki, gromadki kobiet i mężczyzn, rozprawiające na temat jej zgonu i t. d. Wszystko to naturalnie odbywa się w granicach jej pojęć. Jest to świat znany jej, są to wyrażenia używane w jej otoczeniu, zabarwione wprawdzie właściwym jej duszyczce sentymentalizmem, ale bynajmniej nie przechodzące granic jej umysłowości. Dopiero, gdy zjawia się Nieznajomy, w którym odgadujemy Chrystusa, zaczyna nam wydawać się, że ta uboga wiejska dziewczynina nie mogła wysnuć takiej fantazyi, że Chrystus jej marzeń nie mógł przemawiać takiemi słowy. Chyba przyjąć musimy, że wraz ze stopniowem wzmaganiem się stanu patologicznego, z powolnem wyswobadzaniem się z ciała, dusza jej wznosi się na wyższe stopnie, że nabiera owej *lucidité*, którą zresztą obserwowano nieraz u indywiduów chorobliwych, i do której wreszcie każda istota ludzka w mniejszym lub większym stopniu w chwilach wielkiego podniecenia zdaje się być zdolną.

Do Hanusi, leżącej już w trumnie, w szklanej trumnie swych marzeń, zbliża się Nieznajomy ze słowami: „Nie umarła dzieweczka, ale śpi! Hanusiu Mattern, ja ci mówię wstań!“ Dziewczyna wstaje, ale nie do życia ziemskiego, wstaje do życia w wieczności.

„Oto zrenicom twoim daję wieczne światło—mówi Nieznajomy, dotykając jej oczu.— Przyjmijcie w siebie słońca słońc, zwróćcie się ku słońcu. Przyjmijcie w siebie dzień wieczności od zórz porannych, aż do zórz zachodnich, i od zórz zachodnich, aż do zórz porannych. Przyjmijcie w siebie wszelkie światło świateł, błękit morza, błękit niebios, i zieleń łąk—na wieki.

dotyka jej uszu.

„Oto daję uszom twoim moc słyszenia milionów anielskich chórów i milionów sfer brzmiących—na wieki.

dotyka ust jej.

„Oto rozwiązuję twój język z mowy, co była, jak niemowlęca, a kładę ci w usta ducha mego i ducha ojca mego, i ducha świętego—na wieki.“

Zbliżają się aniołowie. Nieznajomy mówi do nich:

> Z lnów co najcieńszych weźcie tkankę białą,
> Gołąbki moje i turkawki moje —
> Nakryjcie ono ubożuchne ciało,
> Zmrożone zimnem, palone przez znoje.
> Lekko; by iskry nie zgasić w nim życia
> Na wonne wzgórza i na słodkie paszę,
> Unieście w ciszy i bez skrzydeł bicia,
> Przez blask miesięczny strwożone to ptaszę,
> Przez kwietne błonia, przez rajskie ogrody,
> W świątyni ją mej powiedźcie ochłody!
> . . . .
>
> Na pola maków rozkwitłe rumieńcem
> Obróćcie oczy sieroty spłakane.
> Gdzie aniołowie igrają w swej krasie,
> I gdzie Baranek bez zmazy się pasie,
> Niech jej w powietrzu przesłodka woń dyszy.

Chór aniołów.

> Niesiemy cię—niesiemy lekko, w ciszy!
> Hosanna—przez niebios próg!..
> Hosanna—przez niebios próg...
> . . . .

Wizye skończone.

Na scenę pada światło rzeczywistości.

Doktór i zakonnica stoją pochyleni nad zwłokami Hanusi:

Umarła.

Takim jest ten cichy, wewnętrzny dramat duszy sierocej, prześlicznym językiem oddany przez wielką naszą poetkę.

H. C.

Z GALICYI.

Lwowskie koło literacko-artystyczne obchodziło w ostatnim miesiącu jubileusz sześćdziesięcioletniej pracy literackiej Karola Brzozowskiego, zamieszkałego we Lwowie od lat kilkunastu. Brzozowski to jeden z naszych najstarszych; działalnością swoją sięga epoki Mickiewiczowskiej, a nawet łączyły go od roku 1853 osobiste stosunki z wielkim poetą, najprzód w Paryżu — następnie w Konstantynopolu. Życie całe upłynęło mu poza krajem. Z zawodu inżynier i naturalista, poświęcał poezyi godziny swego natchnienia tylko, ztąd też twórczości jego nie obciąża ten balast, jaki spotykamy w zbiorach wielu niepoślednieg nawet talentu poetów naszych. Mówiono o zaginionym pierwszym jego utworze poetyckim niepośledniej wartości. W roku 1856 wydał swój poemat opisowy „Noc strzelców w Anatolii,“ który odrazu zjednał mu znaczną wziętość. Z prac o wiele późniejszych znaną jest również powszechniej inna, nosząca tytuł: „Sen w Bałkanach,“ oprócz tego wiele drobniejszych utworów lirycznych, drukowanych w naszych i Galicyjskich pismach tygodniowych. Tłómaczył Goethego i Uhlanda, a przekłady pieśni Heinego jego pióra liczą się u nas do naj-

udatniejszych. Karol Brzozowski liczy dzisiaj 78 lat wieku.

Ogłoszony przez wydział krajowy konkurs dramatyczny nie przyniósł żadnej wybitniejszej nowości. Prawda, że nagrody takie, jak 500 i 250 reńskich nie mogą stanowić zachęty dla jakiegokolwiek średniego nawet talentu pisarskiego, ale też stosunek sztuk przeznaczonych do wspólnego czytania i odrzuconych mówić się zdaje, że to był chyba rekord grafomanów zawodowych. I we Lwowie przyznanie ostateczne nagród zrobiono zależnem od przyjęcia przez publiczność sztuk wystawionych na scenie — niema zatem nic dotąd zdecydowanego. Zalecono do grania siedmiu głosami dramat „Pożary“ — sześciu głosami dramat „Na wyżynach“ — czterema głos. sztukę ludową „Nowe prądy“ — trzema dramat pięcioaktowy „Bez słońca,“ a dwa głosy żądały takiej samej próby dla sztuki p. t. „Mimoza.“ Jest tedy dopiero zakwalifikowanych do grania sztuk 5, a nadesłanych na konkurs było razem 56. Cokolwiekbądź chcieliby ludzie twierdzić o małym wpływie nagród na pobudzenie twórczości, zawsze prawda zostanie prawdą, a treścią jej ten niezbity pewnik, że autor dobry musi być dobrze zapłaconym za swoją pracę, bo w przeciwnym razie pomyśli on choćby o heblu i młocie, jako o środku zdobycia sobie chleba powszedniego, położywszy pióro w miejscu tak wysokiem, aby go nawet pokusa przypadkowa nie wzięła do bezskutecznego marnowania drogiego czasu. Nagroda 500 reńskich za dramat, to z pewnością żart i w dodatku jeden z mniej przyzwoitych.

O ile wiadomo, wprost przeciwnego rezultatu można się spodziewać u nas po konkursie dramatycznym Paderewskiego, a niewątpliwie jest to wynikiem między innemi i tego pierwszego wrażenia, dzięki któremu autor wzięty, poczytny, utalentowany, a zatem mający czas wypełniony i obliczony, nie był zmuszony do ruszenia ramionami przy pierwszem odczytaniu w dzienników wiadomości o warunkach konkursu.

Między Wydziałem krajowym, a komendą wojskową Krakowa toczą się ciągle rokowania w przedmiocie ustąpienia Zamku na rzecz miasta, jak to już wreszcie oddawna w drodze prawodawczej zostało zadecydowanem. Komenda wojskowa otrzyma odpowiednie do przeznaczenia budowle koszarowe, wznoszące się obecnie na terytoryum podmiejskiem Woli Justowskiej, a opróżni z biur i koszar stary Wawel, który ulegnie restauracyi zupełnej, zapewne długiej, zmudnej i bardzo kosztownej.

Pozbycie się wojsk jest rzeczą mniej więcej 1 miliona reńskich, którego wypłatę bierze na siebie w części wydział krajowy, a w części krakowska kassa oszczędności. Wawel ma być oddany w ręce miasta za lat dwa.

Nawykliśmy już do powszechnych narzekań na słabe bardzo rozpowszechnienie się w Galicyi piśmiennictwa peryodycznego, ale jak się zdaje jest tam do zanotowania pewien zwrot ku lepszemu pod tym względem— nawet dosyć znaczny zwrot, przynajmniej ilościowo. „Głos“ zebrał odpowiedni materyał statystyczny, rzec można pocieszający, z którego główne dane komunikujemy poniżej dla wiadomości czytelników. Otóż wedle obliczeń tego pisma, miało być w 1886 w Galicyi 90 pism, które się rozchodziły w 4,646,210 egzemplarzy. W roku 1895 było ich 179, a ilość egzemplarzy podniosła się do 10,598,935. Jest to zatem podwojenie się w ciągu lat dziewięciu. Czasopisma te co do treści dzielą się tak: w roku 1895 było politycznych 67 (w porównaniu z rokiem 1886 o 22 więcej) — ekonomicznych 17 (więcej o 12) — rolniczych 10 (więcej o 8) — medycznych i przyrodniczych 7 (bez zmiany) — prawno-administracyjnych 8 (więcej o 6) — kościelnych, dyecezyalnych, moralnych 11 (więcej o 3) — geograficznych, statystycznych i historyczno-literackich 2 (więcej o 1)—teatralnych, muzycznych i poświęconych sztukom plastycznym 7 (więcej o 5) — rozmaitej treści 29 (więcej o 13).

Pod względem języka znajdujemy w tym samym okresie czasu takie zmiany: polskich czasopism było w 1895 roku 129 (więcej o 59)—ruskich 25 (więcej o 9) — niemieckich 7 (więcej o 6)—hebrajskich 15 (więcej o 3).

Nadmienić wypada, że w ogólnej liczbie wychodzących obecnie czasopism jest dzienników 12 — wychodzących dwa razy na tydzień 2—tygodników 25—wychodzących trzy razy na miesiąc 7 — dwa razy miesięcznie 82—miesięczników 50—kwartalnik 1. O prenumeracie dałoby się dużo powiedzieć, ale korzystnego bardzo niewiele. Są wprawdzie pisma liczące nawet 6 do 7 tysięcy prenumeratorów, ale mnóstwo wegetuje przy kilkuset abonentach zaledwie, zmieniając właścicieli i redaktorów, i tem się też tłómaczy zapewne w części jakiejś niższa od przeciętnej wartość ich treści, a tem samem nicość wpływów i korzyści moralnej, do której każdy organ poza sprawą zysków aspirować musi koniecznie, jeśli jego wydawca nie jest tak zaślepionym, aby przypuszczał, iż można ladająką tandetą dłuższy czas jakiś opinję publiczną mistyfikować. Razi bardzo w tych rubrykach statystycznych dotkliwy brak pism treści techniczno-przemysłowej — brak zostający w bezpośrednim związku z chronicznem, a może nieuleczalnem finansowem niedomaganiem Galicyi. Do oczu rzuca się ta luka w statystyce, tak samo jak widoczną i dotykalną ona jest na każdym kroku i we wszystkich objawach społecznego życia.

Skoro już mowa o piśmiennictwie, słówko mamy do powiedzenia o znanem przez czytelników naszych „Życiu“ krakowskiem. W końcu roku ubiegłego wspominaliśmy o przejściu w niewiadomo które już z kolei, ręce tego nieszczęśliwego wydawnictwa, zwiastowaliśmy objęcie kierunku przez p. Przybyszewskiego, pisarza znanego więcej w niemieckiej, niż w naszej literaturze, który teraz jednakże zabrał się naprawdę do wypowiadania swoich myśli w języku rodzinnym. Bez trudu mu to przyjdzie z pewnością, pan Przybyszewski bowiem, to jedno z tych uzdolnień wybitnych a wielostronnych, dla którego trudności lingwistyczne byłyby igraszką, nawet gdyby mu język własny mniej był znanym, niż jest w istocie. Język polski u niego jest w całem znaczeniu tego słowa piękny, barwny, obrazowy, nawet tam, gdzie się cofamy przed treścią wypowiadanej myśli, albo gdy tej myśli z chaosu słów i okresów w żaden sposób wyłowić nie możemy. „Życie“ pod tym kierunkiem ma się stać organem najmłodszych, dać nowe kształty nowym myślom, stworzyć szkołę.

Wobec takiego zakroju nie będziecie się nam zapewnie dziwić czytelnicy, że was z treścią „Życia“ w miarę ważności zapoznawać będziemy chcieli. Tak się to zamaszyście zapowiedziało, tak wygląda na uniwersał to słowo wstępne, że przemilczenie rozmyślne mogłoby się wydawać krótkowidztwem, zawiścią nizką, albo rodzajem karygodnego uporu, przypominającego dogorywający nasz niegdyś klasycyzm, gdy się miotał bezsilnie na powstający nowy kierunek w naszej literaturze. Ta bezsilność ówczesnych staruszków, niechcących się poddać duchowi niszczącemu sił młodych, pełnych żywotności, wydawała nam się zawsze szczególnie niesympatyczną, a nawet przyznamy, litości niegodną, dlatego wobec manifestu najmłodszych, mamy się na baczności, i dopóki się nie przekonamy, że jest zupełna niezgoda między założeniem a wykonaniem, traktować będziemy nasze zadanie sprawozdawcze odnośnie do tego pisma, z tą dobrą wiarą i pozbawioną cienia nawet uprzedzeń, bezstronnością, jaką staramy się wkładać w nasz dział recenzyj literackich.

X.

Wiejska dziewczyna.

(Szkic z natury).

Ponad jej głową
Z niw szerokich bujną zielenią
Zachodnie zorze lśnią rubinowo,
A w ich odblaskach, w barw milionie,
I wioski, łąki, gaje się mienią —
Świat wszystek płonie!

Przed półgodziną,
Jak przeszły czarne, deszczowe chmury
Jeszcze gdzieniegdzie strumienie płyną —
Ot! już po chmurach, już po powodzi,
I po przez czyste jasne lazury
Łuk tęczy wschodzi.

Wpół pochylona
Ponad zagonem, sadząc ziemniaki,
Wiejska dziewczyna westchnęła z łona
I, opuściwszy swobodnie ręce,
Ot, może tylko dla myśli jakiej,
Skrytej w piosence,

Lub z zbytniej pracy
Lub, żeby rzucić okiem wokoło,
Czy drogą ludzie nie idą jacy,
Może, że taki wieczór uroczy,
Dość, że stanęła, wzniosła swe czoło
I modre oczy...

Cudny zaiste
Był obraz wiejskiej dziewczyny owej;
Ponad nią niebo z lazuru, czyste,
Z boku zaś tęczy stubarwnej wstęga,
Która przechodząc wpoprzek jej głowy,
Z niebem ją sprzęga.

Stała tak chwilę,
Patrząc przed siebie gdzieś w świat daleki
I uśmiechnęła się czegoś mile,
Snać, że ku tęczy wzrok swój zwróciła,
Bo wnet rozwarła obie powieki
I tak nuciła:

Przyrzekł mi Jaśko na Mateusza
W kramiku
Kupić korali, paciorków różnych,
Bez liku.

Ja mu popatrzę w te jego oczy,
Popieszczę,
I, kup mi, powiem, kup mi na szyję
Wstąg jeszcze.

Lecz jeno takie z kramika wybierz,
Mój miły,
Coby jak tęcza owa barwista
Świeciły.

I tyle miały w sobie połysku,
Barw tyle,
By je, jak tęczę, ludzie widzieli
O milę.

Bym je zawieszać mogła co ranek
Na szyi,
W każdą niedzielę i w każde święto
Maryi.

Wiktor Dzierżanowski.

Miliarderki Amerykańskie.

Trudną bywa zawsze porównawcza ocena, gdy zestawiamy ze sobą rozmaite nieużytki i minusy ludzkie. Zdawałoby się naprzykład, że marnotrawca, rozrzutnik, pasożyt społeczny, rozparty na odziedziczonym worku złota z jednej, a dorobkiewicz milioner, przedstawiający w osobie swojej także doskonałe zero społeczne, z drugiej strony, są to passiva tak dalece warte siebie nawzajem, iż szkoda czasu na oznaczanie między nimi różnic i podobieństw, tak jak szkoda wogóle trudu podjętego na jakieś wyszukiwanie wartości tam, gdzie wartości niema żadnej.

Co do wartości, to tak jest niewątpliwie, ale poza nią zachodzą tu inne jeszcze drugorzędne względy, zasługujące również na wzięcie pod uwagę, mianowicie źródła, z których wypływają te potoki zamulające sobą nurty zbiorowego życia, niemniej stopień ich uświadomienia w sprawie zrzucenia z siebie obowiązku społecznego. Otóż co do tego punktu, jednomyślnem jest prawie zdanie obserwatorów, iż ludzie powstali z niczego a nagle, bogacze spekulanci, i giełdowicze, wszyscy przechodzą w cynizmie nawet zwyrodniałych potomków warstw, używających z pokolenia w pokolenie — że podczas, gdy tych ostatnich krępują ile tyle stosunki, jakiś chociażby strzępek tradycyi rodowej, opinja świata, tamci pierwsi wolni od podobnych hamulców, roztrącają brutalniej i gorszą impozycyą bezwzględniejszą.

Jako przykład wymowny posłużyć może postawienie obok siebie starej arystokracyi europejskiej i miliarderów amerykańskich ostatniej doby.

Wypuszczając tutaj z rozmysłem całym nasze osobiste w danej kwestyi stosuneczki, któreby nas nietylko od założenia odwiodły, ale nawet przeciwko nam może świadczyć chciały, wspomnimy tu jednakże to, co wiadomem jest powszechnie—o udziale kobiet starych rodów francuzkich w każdem dziele filantropijnem, a co ważniejsza o arystokracyi angielskiej czynnej, pełnej inicyatywy, tam nawet, gdzie chodzi o postęp bardzo zdecydowany, i o dźwiganiu na powierzchnię życia społecznego warstw nowych, co jak wiadomo, musi być tym sferom liczone jako akty wysokiej bezstronności i dowody zarazem szczerego przejęcia się dobrem narodu.

Aby przeciwstawić temu żywiołowi świat kobiecy miliarderek amerykańskich, użyjemy tu materyału, który zebrał publicysta L. de Norwins i ogłosił drukiem w Przeglądzie francuzkim. Nietylko nie oszczędza on nazwisk, ale owszem podaje sylwetki kobiece powszechnie znane i noszące imiona w świecie miliarderów najgłośniejsze, opisuje ich sposób życia i środki, jakimi każda rozporządza. Po Bourget'cie jest to jeden, który zdaje się dosyć głęboko zajrzał do wnętrza tej społeczności dalekiej. Posłuchajmy tedy.

Przedewszystkiem, jak mówi Norvins, miliarderka amerykańska w niczem nie jest podobna do tego, który jej dostarcza środków materyalnych, to jest do swego męża lub ojca. Podczas, gdy ten ostatni ma swój cel, za którym goni i któremu oddany jest całkowicie i wyłącznie, jedynem zajęciem kobiety w tym świecie, jest rozpraszanie pieniędzy — rozpraszanie jak można najszybsze i najobfitsze. Poza tem nie rozumieją one nic, i nie chcą wiedzieć o niczem. Życie otaczające nie obchodzi ich wcale. Warunki ich odosobnienia się od reszty społeczności wytworzyły też tutaj typy, którym równoważnych daremnem byłoby szukać w świecie całym. Norvins utrzymuje, że kto chce zrozumieć i ocenić motyla, powinien się przyjrzeć mu gdy jest poczwarką. Rozpoczyna też od portretów dwóch debiutantek w świecie miliarderów dzisiejszych, mianowicie od mis Gladys Vanderbildt, najmłodszej z córek głośnego arcymiliardera, i mis Ruth Twombly, córki Hamiltona Mackaya Twombly i jego żony urodzonej Vanderbildt. Obie liczą wieku lat 16, obie są bardzo piękne i zapowiadają się jako królowe mody przyszłego sezonu.

Samo z siebie wypływa, że osoba młoda, na którą zwrócone są oczy całego świata posiadających, ma wyrobione należyte pojęcie o swojej ważności. Przygotowywane starannie do odegrania roli, jaką im los przeznaczył, mają już w chodzie i obejściu ton i arogancyę, niepraktykowaną w jakiemkolwiek innem środowisku. Oświecając ich umysł, miano na celu wyłącznie zabezpieczenie ich przeciw śmieszności. Postarano się tedy o rodzaj pokostu z muzyki, sztuki i literatury, wystarczającego na użytek salonów i przyjęć obiadowych. Maluje też każda z nich cokolwiek, gra odrobinkę, zna tytuły książek, zresztą posiada sztukę rzucenia się na fotel z gracyą, i podnoszenia się z niego bez niezręczności. Jedną jedyną rzeczywistą przewagę tego wychowania stanowi taniec, i na doskonałość w tym kunszcie nie szczędzono tutaj środków materyalnych, taniec bowiem w Ameryce ma zupełne pierwszeństwo przed rozmową.

Apartament panny Ruth Twombly od 14-go roku jej życia składa się: z salonu, z gabinetu dla muzyki, gabinetu do... pracy, buduaru, sypialni i sali kąpielowej. Do tego apartamentu całego nie ma przystępu żaden mężczyzna, oprócz lekarza domowego — nikt nawet ze służby męzkiej. Identycznym co do składu jest apartament rówienniczki p. Consuelo Vanderbildt. O przepychu wprowadzonym tam za sprawą miliardów, zamilczymy oczywiście, bo zbytek wogóle nie zasługuje na to, aby się nim zajmować, a zbytek zbogaconych geszefciarzy mniej jeszcze od innych. Nadmienimy wszakże, idąc za sprawozdaniem, że w gabinecie toaletowym każdej z tych 16-letnich debiutantek, nie brak ani jednego z przyrządów przeznaczonych do podniesienia wdzięków, jakimi zwykły się posługiwać najmodniejsze tak zwane *Professional Beauties.* Z trzech służących przywiązanych wyłącznie do tych młodziutkich miliarderek, jedna ma staranie o osobie, druga o garderobie; obie jednak mają niezmiernie wiele do czynienia, i rzadko idą spać przed godziną czwartą z rana. Juścić tam, gdzie koszt zakupywanych rocznie ubrań dochodzi 100,000 franków, czynność kamerystki musi być rozgałęziona i skomplikowana zarazem. Trzecią służącą możnaby opatrzeć funkcyą tak zwanych poruczeń szczególnych.

Tym trzem służebnym indywiduom żeńskim odpowiada liczbą męzka usługa w stajni, składająca się ze stangreta, jego nieodłącznego towarzysza na koźle karety, wreszcie grooma. Ten ostatni trzymając się odległości przepisanej, jedzie jako cień podczas wycieczek konnych. Darujemy czytelniczkom opis ekwipażów, ich rozmaitość i specyalne każdego przeznaczenie, w przekonaniu, że to tylko także zupełnie odrębne umysłowości kobiece interesować może, a tych między czytelniczkami „Tygodnika" jest przypuszczalnie liczba nader ograniczona. Wolimy natomiast uogólniając rzecz, opowiedzieć coś z poglądów Norvinsa na te umysłowości, które przedewszystkiem, wedle jego mniemania, nie mają równych sobie w żadnej ze sfer towarzyskich starego i nowego świata.

Niezaprzeczonemi właściwościami tych osobliwych organizacyi niewieścich, mówi autor, jest lekkomyślność, ciasnota pojęć, pycha bezgraniczna, a głównie trudna do pojęcia oschłość serca. Nie zdolne do zrobienia użytku z własnych dziesięciu palców, nie pojmujące nic z tego, co się nazywa prowadzeniem domu, nieświadome swojego przeznaczenia w rodzinie i społeczeństwie, ciemne aż do wzbudzenia podziwu w najwyrozumialszym człowieku, mają te panny, czy te kobiety jedną myśl wyłączną, jedno pragnienie i jeden cel, a tym jest wzbudzenie zazdrości znajomych i rówienniczek swoich. Przedmiotem tej zazdrości nie może być oczywiście nic innego, oprócz klejnotu, sukni, mebla czy konia, zawsze ceny zdumiewającej. To ostatnie stanowi warunek nieodzowny, bo innych wartości oprócz materyalnej pojąć te umysły nie mogą. Że tak jest a nie inaczej, że nie są

one w stanie nic ocenić, a tem mniej zamiłować, dowód w tem, że każdy z tych przedmiotów, za którymi się upędzają, staje im się natychmiast obojętnym, gdy go posiędą.

(*Dokończenie nastąpi*).

STARY MUZYK.

Sylwetka z natury.

Całej Warszawie muzykalnej znaną była doskonale przed laty mniej więcej czterdziestu postać białowłosego przygarbionego staruszka — jednego ze skromnych, ale zarazem bardzo szanowanych pedagogów muzycznych. Ranki i dopołudnia upływały temu starcowi na dawaniu lekcyi, których miał sporo, jako niepospolity w swojej specyalności przewodnik; wieczorem ukazywała się ta poczciwa twarz po prawej stronie orkiestry teatru Wielkiego, a ukazywała z matematyczną punktualnością, na kwadrans przed rozpoczęciem przedstawienia. Nigdy wcześniej, ale i nigdy później minutą jedną chociażby.

Starzec liczył się niejako do przynależności żyjących starej Warszawy, których ona miała w owym czasie tak wiele, i tak wysoce charakterystycznych. Obcy nazwiskiem i pochodzeniem, zespolił on się z pierwiastkiem miejscowym całą szczerotą swojego prostego serca, zamiłował te bujne natury młodzieży naszej, które krytykował niekiedy gderliwie, ale których grunt etyczny, bogactwo intelektualne i artystyczny rozpęd oceniał z wielką trafnością i prawdą.

Zostawałem w stosunkach blizkiej zażyłości koleżeńskiej z jednym z pomiędzy jego dawnych uczniów, notabene uczniów najlepszych i najwdzięczniejszych. Stosunek tych dwóch ludzi — starca z jednej i człowieka w pełni młodości podówczas z drugiej strony, o wiele przeżył epokę, w których pierwszy prowadził rękę, a drugi niewolniczo szedł za wskazaniami jego, jako pedagoga. I dziś grywali oni ze sobą jak niegdyś, a dawny uczeń przekonanym był, jak mi to nieraz mówił, że rady tego wybornego znawcy muzyki wogóle, a tajników jego instrumentu w szczególności, skończonemu nawet artyście mogły być użyteczne.

W naszem koleżeńskiem kółku używał on przezwiska Sertoryusza, który mu daliśmy z racyi, że starzec łączył w osobie swojej w sposób szczególnie sympatyczny, wszystkie podniosłe strony charakteru artysty, a więc: fanatyczną, młodzieńczą prawdziwie, cześć dla sztuki, z życiem surowem i powagą niepospolitą, co razem wzięte tworzyło właśnie harmonię z takiem mistrzowstwem oddaną przez Feuilleta, w postaci jego niemieckiego mistrza.

Domem, w którym ja spotykałem peryodycznie tego warszawskiego Sertoryusza, był to zawsze ów dom kolegi mojego, a jego niegdyś ucznia. Przychodził tam staruszek dwa razy tygodniowo, w godzinach popołudniowych, ale że był na tyle człowiekiem systematycznym i akuratnym, ile jego dawny elew dystraktem i marnotrawcą czasu, więc zdarzało mu się nieraz godzinę, a nawet dwie czekać na tego światowca, któremu świeżo odziedziczona po rodzicach bardzo znaczna fortuna, nastręczała niemałe środki urozmaiceń życiowych.

Te godziny oczekiwań starałem się wyzyskiwać na swoją korzyść, przekonawszy się, że ten powszedni z pozoru starowinka, to nieoceniony z wielu względów informator. Niewyczerpanym był on mianowicie, gdy zaczął mówić o dawnych uczniach swoich—obecnie ludziach więcej lub mniej znanych w świecie muzykalnym. Moje własne spostrzeżenia co do indywidualności mego kolegi, szczególnie mi potrafił rozjaśnić i uzupełnić. Razu pewnego, z okoliczności tego opóźniania się gospodarza domu, zacząłem z nim rozmowę, gdym spostrzegł, że z niechęcią pewną po raz już trzeci spogląda na zegarek.

— Władysław się spóźnia...

— A tak—odparł ze spokojem—weszło mu to już niejako w zwyczaj.

— Bo też teraz, przy życiu, jakie zaczyna prowadzić, wiolonczella pójdzie prawdopodobnie do pudła.

— Nie zdaje mi się. To, co go pochłania dzisiaj z pominięciem wielu spraw, których nawiasem mówiąc, pomijać nie powinien, to jest nabytek świeży—muzyka to jego potrzeba, a potrzebie czyni się zadość mimo wszystkiego i wbrew wszystkiemu.

— Potrzeba?..—powtórzyłem wątpiąco.

— Tak jest... niewątpliwie.

— Więc pan uważa organizacyę swojego ucznia, jako artystyczną?

— On jest artysta—na swój sposób zapewne, ale artysta.

— Przyznam się panu szczerze, a wolno mi to mówić za oczy, ze względu, żem mu to samo nieraz już w oczy wypowiedział, iż mam powody do wniosków wprost przeciwnych. On może grać dobrze, poprawnie, nawet pięknie, ale pierwiastku artystycznego, duszy artystycznej, tak jakbym ją pojmował ja — nie dopatruję w nim.

— A jednak ona tam jest, zresztą chciałbym wiedzieć na czem pan to gruntujesz.

— Na tem, co słyszę z ust jego własnych. Zbyt wszechwładną jest np. w jego pojęciu technika muzyczna. Maximum jakieś techniki to wedle niego maximum wywołanego na słuchaczu wrażenia — innemi słowy: przyczyna i skutek. Niedawniej jak przed kilku dniami żartował sobie z moich pojęć o tej emanacyi, która wydziela się nietylko z ducha twórcy—ducha pozostawionego w dziele, ale i o tym samym prądzie mistycznym, który dzięki zespoleniu wykonawcy z twórcą, daje owo natężenie maximalne, przenikające z duszy do duszy. On tego nie pojmuje, on śmieje się z tego po prostu.

— A jakże on to sobie przedstawia?

— Widzi pan, to jest taki sobie dziwny ten jego sposób zapatrywania się na te wszystkie sprawy. On mówi: „wy laicy, macie to wasze uczucie, o które naiwnie posądzacie i nas także. A tymczasem jeśli ciebie wzrusza, to co ja gram, to dlatego, że ja mam materyalny środek wzruszania, a środek ten zwie się kunsztem, techniką, czy jak ci się to wreszcie podoba nazwać. Ty płaczesz, a płaczesz dlatego, że mnie się podobało strunę mocniej nacisnąć palcem lewej ręki. Zrozumiej to raz na zawsze i nigdy mnie nie posądzaj o to, czego doświadczasz sam."

— I cóżeś mu pan powiedział na to?

— Że jest kloc wraz z całem swojem pojęciem o sztuce. Czy się mylę?

— Mylisz się pan oczywiście, o tyle, o ile bierzesz dosłownie to, co on mówi. Oni, czyli ta cała wasza młodzież dzisiejsza, mają ten swój sposób tłómaczenia niektórych objawów ducha ludzkiego, i to się wedle nich zwie metodą pozytywną, ale podług mnie rzecz redukuje się między wami tylko do sporu o wyrazy. Świadomie czy bezwiednie laik i artysta odczuwają piękno jednako, a jeśli pan o tem wątpisz, co do niego, to spojrzyj w twarz tego człowieka, gdy gra, ale spojrzyj w głąb jego istoty—umiej patrzeć, i wtedy zapytaj siebie czy to ten sam, którego widujesz tak często wśród towarzyskiego zgiełku, z kartami w ręku, albo przy biesiadnym stole. Ja to panu mówię, bo najprzód rozumiem ducha waszego zbiorowego lepiej, niż niejeden z was samych, potem wystudyowałem, bo miałem czas wystudyować każdego z uczniów moich, a nakoniec znam i rozumiem tego, o którym mówimy, bliżej może nawet, niż wielu innych, bo mię zajmował jako materyał szczególnie. Jabym dziś nie potrzebował się w niego wpatrywać, bo ja odwrócony od niego, poznam taką chwilę, gdy w nim potężnieje to, czego istnieniu on zaprzecza—czego się wypiera, jak wstydu.

— Pocóż się wypiera i dlaczego przeczy?

— Maniera, panie kochany—maniera, poza nie taka—zupełnie niewinna zresztą, co chętnie przyznaję, a przyznaję ze względu, że obniża to nastrój w tych ludziach, i robi życie ich powszedniejszem. Ale niewątpliwie to, co w nim jest artysty, to najlepsza cząstka jego duszy, której pan, jeśli mu przyjacielem jesteś, nie podaj nigdy w wątpliwość, choćby przez wzgląd na niego samego. Niechaj on się tą negacyą w słowie nie obniża w własnem pojęciu. Bądź co bądź jego dusza w tem.

— W smyczku... — powtórzyłem mimowiednie, z odcieniem jak widać pewnej niechęci w głosie, bo mi starzec przerwał z rodzajem uniesienia:

— W smyczku! Tak jest, w smyczku! Albo ż jej tam być nie może? Pan wątpisz, a więc odejmij mu to, pozbaw go tych chwil krótkich, które spędza na muzyce, w których rozmawia z duchem matki, w których śni mu się dzieciństwo jego—jego porywy niedawne, które przecież dzielił z wami, przerwij tę nić tajemną, a przekonasz się, że mu odebrałeś najcenniejszą część jego istoty.

Unosił się stary w takich chwilach. Ci ludzie ówcześni unosili się tak łatwo, że im w imię tej ich wady chociażby, niejedno darować potrzeba. Byli to entuzyaści, jak mówią jedni—fanatycy, jakby nazwał ktoś inny surowszy; bądź co bądź sztuka nie traciła na tej ich podniesionej wrażliwości, i to będzie musiał przyznać każdy.

(*Dokończenie nastąpi*).

KRONIKA.

Nieporozumienie.

Jeśli mądrość Niemców daje nam zbawienną naukę, mówiąc o tem, iż każdy czyn występny ma swoje przekleństwo, to my zbierając ziarnka naszej mądrości rodzimej, swojskiej, powinniśmy uwierzyć, ze nie obchodzi się bez następstw ujemnych nigdy pojedynczy czy zbiorowy czyn lekkomyślny — nie uchodzi bezkarnie wadliwa metoda, przyjęta nieopatrznie w życiu społecznem, a choćby towarzyskiem tylko.

Co się licho zaczęło—to się licho skończy—Złe dobrego, a głupie mądrego nie urodzi, mówią niezrównanej trzeźwości orzeczenia, przechodzące z ust do ust u ludu naszego.

Mamy słów kilka do powiedzenia dziś z okazyi pewnych zmian, zaszłych w życiu naszem towarzyskiem—zmian, które uważamy za ujemne, i których szkodliwość daje nam się przy każdej sposobności tem dotkliwiej uczuwać, im szerzej i powszechniej pozwalamy im rozrastać się w organizmie naszym.

Wadliwem jest naprzykład bez żadnej wątpliwości u nas oddawanie czci wszelkiej zasłudze, za pośrednictwem uczt zbiorowych, festynów hałaśliwych, i toastów, otwierających szluzy, więcej lub mniej godnej uznania, retoryce naszej.

Wadliwem, jeśli nie gorzej, poświęcanie na ten cel sum znacznych, których wysokość razi bardzo przykro każdego, kto nie może zapomnieć, iż ma ta nieopatrzna rozrzutność miejsce w społeczeństwie ubogiem, nie wiedzącem któremu z najnaglejszych niedostatków chwili bieżącej wpierw zaradzić. Można sobie te niedostatki ignorować—można tych sum wyrzucanych nie liczyć, ale raz rozejrzawszy się w tych brakach i policzywszy te kwoty rozpraszane, myślom nader przykrym opędzić się nie sposób.

Wadliwem w dalszym ciągu jest przeniesienie, dziś już prawie zupełne, środka ciężkości naszego życia towarzyskiego z domu do gospody, która więcej lub mniej strojna — zbytkowna i świecąca, czy zbliżona bardziej do jaskini, na punkcie pewnych właściwości swoich, jest i musi pozostać zawsze tylko gospodą — niczem więcej. Mogła ją dla siebie stworzyć społeczność niemiecka, może jej być z nią najlepiej, bo ona w istocie tworzy z nią niejako całość nierozdzielną, ale duchowi naszej towarzyskości nie odpowiada oberża bynajmniej, i o tem przy każdej okazyi przekonaćbyśmy się mogli, gdybyśmy rozumowali trafnie i wnioskowali należycie.

Jeśli nas tedy wśród konjunktur takich i podobnych spotyka coś, co nam jest nie po myśli i nie do smaku, nie dziwujmy się, a przyjmijmy to owszem jako następstwo nieuniknione wadliwości pomysłów naszych i naszej metody.

I tak:

Jeśli aż przed forum opinii wytoczyła się w ostatnich czasach arcyniesmaczna, nawiasem mówiąc, sprawa wyłączenia kobiet od uczestnictwa przy biesiadzie dla Paderewskiego.

Jeśli powstały z tego tytułu po dziennikach roztrząsania, protesty, rekryminacye, a nawet jakieś zamierzone odwety niewieście, w myśl których miały niby po powrocie Paderewskiego do Warszawy, uczcić go bankietem panie protestujące, a mężczyźni zająć miejsca na galeryach.

Jeśli tego wielkiego hałasu o nic było nad potrzebę i miarę, nie stosujmyż z tego tytułu pretensyi do niesprawiedliwości mężczyzny, który kobietę odsunął od stołu biesiadnego i posłał na galeryę—nie miejmy żalu do kobiety, że się beztaktownie wpraszała tam, gdzie była niepożądaną, ani o to, że następnie obmyśliła dziecinny prawdziwie sposób rewindykacyi praw swoich. Nie czepiajmy się jednem słowem szczegółów żadnych, zaszłych w tym konflikcie, a umiejmy natomiast stawić pod zarzutem metodę samą, dzięki której potrafimy okazywać uznanie nasze tylko bankietem, i wytwarzamy stosunki towarzyskie, w których mężczyzna ubliża dotkliwie kobiecie, a kobieta przez brak poczucia godności, ubliża samej sobie.

Kiedyż zrozumieją nareszcie obie strony tę wielką prawdę, że wcale nie jest drogą zdobycia wpływu wtargnięcie kobiety tam, gdzie mężczyzna ucztuje? Umiały matki i babki nasze właśnie przez wzgląd na godność własną, opuszczać stoły biesiadne w chwilach, kiedy zaczynała przy nich wzrastać ochota ucztujących — miałyżby wnuczki ich cisnąć się do tych stołów, wtedy nawet, gdy ich tam nie żądają?

A tymczasem chciejcie wierzyć, że nie ta z pewnością zdobędzie wpływ prawdziwy, którą mężczyzna z własnej ochoty pociągnie za sobą do oberży — nie ta, która mu się tam z ubocza pożądliwie napraszać będzie, ani ta nawet, któraby się tam dostała przemocą wbrew jego woli.

Tego wpływu pożądanego i marzonego musi koniecznie szukać sobie kobieta na innych drogach, jeśli zechce, aby on był istotny i trwały.

Ze spraw kobiecych.

Warszawskie Towarzystwo farmaceutyczne zawiadamia o otwarciu kursów dla kobiet przy istniejącej pracowni chemicznej Towarzystwa, a to celem ułatwienia słuchaczkom egzaminów na uzyskanie stopni prowizorów farmacyi. Wedle wypracowanego przez stowarzyszonych projektu, kurs nauk dla kobiet ma trwać przez 3 półrocza, koszta zaś pokrywać będą opłaty składane za naukę, i zapomogi, z jakiemi ogół oceniający użyteczność nowej instytucyi z pewnością pospieszyć nie omieszka.

Cierpienia umysłowe u nas.

Rada miejska dobroczynności publicznej postanowiła ze względu na przepełnienie panujące we wszystkich szpitalach dla obłąkanych, rozszerzyć zakład w Tworkach o 74 miejsca. Odpowiednie kosztorysy będą w krótkim czasie opracowane.

Nie od dzisiaj wiadomo, iż cierpienia umysłowe rozpowszechniać się i u nas zaczynają w niepocieszającym wcale postępie, ale nie słyszymy jakoś nic o środkach zapobiegawczych, przedsiębranych w sferze intelligencyi, przeciw sposobowi życia, którego te cierpienia w pewnej mierze są następstwem. Te środki jednak są nagłe; winny one być uwzględniane i w wychowaniu pierwiastkowem, i w epoce rozwoju, i w życiu dojrzałych ludzi nareszcie, któremu odjąć trzeba przedewszystkiem jego gorączkę użycia i obłędne kierunki idei.

Sprawy miejskie.

Agitujący się oddawna w radzie miejskiej warszawskiej projekt nabycia folwarku Rakowiec, położonego za rogatką Jerozolimską, celem obrócenia go na park miejski, wchodzi obecnie w fazę urzeczywistnienia. Władza wyższa odpowiedziała przychylnie na odnośne przedstawienie Magistratu i w dniu 26 z. m. zjechała na grunt specyalna komisya dla oszacowania tego majątku. Komisyę składali: p. o. kuratora szpitala św. Rocha dr. Wasiljew, członek rady senator Nowakowski, inżynier miasta Mościcki, oraz obywatele: Edmund Jankowski, Rossman i St. Rottwand. Komissya przestrzeń dwudziestowłókową oszącowała na milion rubli.

Wskazówki i rady.

Legumina z ryżu z pomarańczą.

Na 8 osób ugotować pół funta odparzonego ryżu na rosole cielęcym, kładąc 4 łuty młodego masła, aby się dobrze wyłajał, to jest, aby się dzielił na przezroczyste ziarnka. Gdy wystygnie, wcisnąć w niego sok z czterech pomarańcz i jednej małej cytryny. Skórkę z pomarańcz obetrzeć o cukier, który utłuc, a dodawszy jeszcze ćwierć funta, lub tyle, ile smak słodkawy wymaga, gdyż pomarańcze bywają słodsze lub kwaśniejsze, wymieszać wszystko razem wybornie, ułożyć na blaszany lub porcelanowy półmisek i polać czterema białkami ubitemi z cukrem, jak na marengi, czyli do ubitej piany wsypać cukier, i zapiec w wolnym piecu, stawiając półmisek na górnej kondygnacyi. Wyborne.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Ukraince. Z pismem, na którego informacyę powołuje się Szanowna Pani, nie jesteśmy w żadnych stosunkach, postaramy się jednakże dojść, na jakich się ono opierało danych, podając wieść o tak ponętnych widokach pracy do wiadomości powszechnej. Uprzedzamy wszakże, że sprawdzenie może natrafić na przeszkody.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Января 1899 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Marya ogłuszona, olśniona wymową ojca, wzięła pióro do drżącej ręki — ale na dnie sumienia słów nie mogła wynaleść.

— Kilka wyrazów!... cokolwiek bądź! — prawił szybko Sokolnik. Zaczekaj!... pomogę ci, jeżeli pozwolisz, przyjmę nawet na siebie połowę winy; on zna moją ku niemu życzliwość, tem łatwiej zrozumie prawdziwe znaczenie odsyłki. Pisz:

„Ojciec mój, któremu pokazałam załączony tu list, poradził mi, abym go odesłała.

„Jestem mu posłuszną, tem chętniej, że z przekonania wiem o ile rada jego ma zawsze na celu prawdę, honor i szczęście tych, którzy są jego sercu drogimi.“

— Rozumiesz mnie teraz moje dziecię?... — mówił dygnitarz z nieudaną tym razem radością; przystosowanie widoczne, chociażby nie chciał — odgadnie Złóż papier — oto pieczątka z twoją cyfrą — dobrze — podpisz nazwisko. A teraz w imię Boże! poleć się opiece twojej patronki i czekajmy cierpliwie wypadku. Szczęściem zatrzymałem posłańca, każę mu aby pospieszył.

Sokolnik zbiegł do swego pokoju, gdzie u drzwi czekała go stara klucznica.

— Masz list!... — zamyślił się — weź także i ten pierścionek — dodał po chwili — powiesz posłańcowi że jedno i drugie otrzymałaś z własnych rąk panny hrabianki. O mnie nie wspomnisz ani słowa, choćby się dopytywał. Spiesz i nie spuszczaj go z oka, aż wyjdzie na ulicę.

Magnat znalazłszy się sam, zatarł ręce z rozkosznym uśmiechem.

— Zwycięztwo!... — zawołał — pierścionek i list!... dwa pociski więcej warte od najtrafniejszych strzałów Wilczka!

Miał słuszność dygnitarz.

Kazimierz przeczytał list, spojrzał na pierścionek, przypomniał sobie ostatnią o nim rozmowę; wyraz Alkhadar—*przeznaczenie*—zdawał się odpowiadać jego myślom.

— Zgoda!... — rzekł po chwili — szczęście, zostawmy przeznaczeniu; obowiązki, woli, wytrwałości zadośćuczynienie raz powziętym przekonaniom i zamiarom. Namiętność dotąd prowadziła rozum, niech teraz rozum wiedzie namiętność; może prędzej staniemy u celu! Prolog odegrany; skończył się akt pierwszy dramatu mego życia. Zaprawdę, zaprawdę — rozwiązania ani ja, ani nikt zgadnąć nie zdoła! Idźmy dalej, chociaż samotnie, kiedy tak chciało godło starego Szeika!...

Sokolnik mówiąc przed córką o odjeździe Kazimierza, kłamał proroczo.

W chwilę po odebraniu listu, Poraj otrząsał proch obuwia na progach miasta Lwowa. Wyjeżdżał!...

XI.

Wilczek zamrużył teraz oczy, i z głową pogrążył się w wirze coraz gwałtowniejszych wzruszeń.

W dzień, szalone gonitwy, niesłychane zakłady, uparte naigrawania z przypadku; dalej Sardanapalowe uczty, niemiłosierne chłostanie krwi napojem, i rozdraźniony obłęd mózgu w zapalnej atmosferze bachicznych wyziewów. Z nadejściem nocy gra; ale gra na zabój, z kielichem w ręku, z przekleństwem lub z szatańskim śmiechem na ustach, z wzrokiem obłąkanym i z piersią trawioną od nieugaszonej gorączki, z wściekłą zawziętością przeciw zmiennym losu kolejom, z nieubłaganym zamiarem okucia w pęta i rzucenia sobie pod nogi dziwacznej Fortuny.

Gwiazdy nieraz już bladły; jutrzenka często rumieniła widnokrąg, słońce czasami złociło już ziemię — dla niego czas tracił miarę, i koniecznością spoczynku przerw życia nie znaczył.

Towarzysze padali od zmęczenia; on jeden z uśmiechem na porażkę sił ich spoglądał, on jeden granic własnej dzielności nie mógł się dopatrzeć. Gdy nareszcie, sam tylko krzepki i rzeźwy, spostrzegał się śród zmorzonej snem zgrai, gdy do dalszych zapasów brakowało mu spólników, wtedy dopiero opuszczał zwolna namiętne szranki szału, rzucał się na łoże, zapadał w chwilowe skamienienie, snem czy letargiem?... niewiadomo.

Nazajutrz znów gonił tym samym szlakiem, drwił z bezsilnych, zachęcał leniwych, zażegał obecnych tym ogniem piekielnym, jakim sam płonął.

Dotrzymywano mu pola przez uczucie spółzawodnictwa, przez obawę zarzutu zniewieściałości, przez chęć okazania się wyższym nad powszechną gawiedź, która w nieustannem gwałceniu praw natury, bez snu, bez spoczynku, żyć nie mogła.

Gawiedź nawzajem z oczyma rozwartemi szeroko, podziwiała herkulesowe prace kapłanów rozpusty. Wilczek z każdym dniem, a raczej z każdą nocą, rósł we wziętość i w szacunek.

Mijały dnie i tygodnie. Długo wątpliwe zwycięstwo, zaczynało przechylać się na stronę bohaterowi naszemu przeciwną. Los, urażony nadużywaniem łask swoich bez granic, opuszczał dawnego ulubieńca. Wilczek przegrał całą swoją gotówkę; uparł się i na dalsze przegrane wyczerpał wszystek kredyt; uparł się jeszcze i ogromne summy przegrał na słowo.

W kilku tygodniach, nad przepaścią zwiesił jeden z najznakomitszych w Galicyi majątków. Siły poczęły w nim ustawać; natura wyraźnemi ostrzeżeniami wzywała go do porządku. Systematyczny nieprzyjaciel półśrodków, w jednej chwili doznał w sobie rdzennego przewrotu uczuć. To wszystko zaczem dotąd gonił, nagle obrzydło mu tak dalece, że długie lata najsurowszej klasztornej reguły byłby zniósł łatwiej, niżeli jeden dzień więcej hucznego lwowskiego życia.

Męty kielicha uciech, zaprawiły mu usta nieznośną goryczą; zniechęcił się do towarzyszów, zgiełk biesiady kaleczył mu uszy, wzruszenia gry przestały draźnić nerwy, znienawidził luby mu dotąd szmer pochlebstw, obojętnie przyjął nową stratę Godolfina, który w jednej z ostatnich gonitw uwiązł w przeskoku na żelaznych sztachetach, i zabił się na miejscu. Co gorsza, zdawał się spostrzegać, że za każdę znaczną przegraną, stygnął ku niemu zapał dawnych przyjaciół, że kilku zupełnie go opuściło, inni zaś poczynali objawiać dowody szczególnego lekceważenia. Nieodpowiadano czasem na jego pytania, niepodziwiano jak dawniej odpowiedzi, nie zachwycano się dowcipem, nie wynoszono pod niebiosa zręczności jego, siły, odwagi—jedynych w towarzystwie zalet.

Oczywiście gwiazda zaczynała blednąć. Wilczek zachwiany na siłach, zniechęcony, zgorączkowany, nie miał powodu przedłużania pobytu we Lwowie. Westchnął do rodzinnej wioski jako pustynny wędrowiec do oazy; zapragnął odetchnąć, piersi orzeźwić świeżem naddniestrzańskiem powietrzem. Uciekał wreszcie z miejsc i od ludzi mu obmierzłych.

Miedzy powzięciem a wykonaniem zamiaru, Wilczek nie znał granicy.

Z przyjaciół, jednemu tylko się zwierzył—temu, który pomimo chwilowych nieporozumień był przecież najmniej nieznośnym, którego spotkanie, w potrzebie zwłaszcza, było mu najdogodniejszem.

W istocie, jak na przyjaciela, Juliusz miał rzadkie zalety. Podczas gdy wielu zdawało się składać hołd raczej dostatkom niżeli osobie, Juliusz kochał Wilczka dla niego samego. Widział go niespokojnym, zgadywał jego cierpienia, podzielał troski, lękał się zostawiać go gryzącym samotności godzinom. Los opuszczał młodego panicza—obowiązkiem przyjaźni było tem bliżej ku niemu się cisnąć. Juliusz na pamięć znał towarzysza, wiedział co go bodło, co głaskało, przewidywał stosowne chwile na stawianie mu oporu, na potakiwanie jego woli, umiał poruszać w nim ukryte, a jemu samemu wiadome sprężyny, wiódł go jak na paskach gdy tego zachodziła potrzeba.

Ułomnościom człowieczym nie był obcy, rozumiał konieczny wpływ materyalnych względów na ducha, sam bowiem od zewnętrznych przedmiotów brał nieraz odblask, i przezorny żeglarz, z pomyślnym jeno wiatrem puszczał się na morze.

Ze swojej strony nie miał prawa uskarżać się na fortunę. Widział nienawistnego przeciwnika w Poraju; zbieg wypadków podmuchniętych własnem jego tchnieniem, usunął mu z drogi Kazimierza, jak się zdawało na zawsze. We względzie finansowego położenia, niedawno temu gonił ostatkiem i napróżno udawał się do ludzi, którzy, gwoli ścisłości

stosunków, duszą byliby powinni z nim się podzielić. Nieszczęście Wilczka stało się dla Juliusza talizmanem zbawienia. Dziwacznica, ślepa bogini, parsknęła do niego na całe gardło; w przeciągu kilku dni zbogaciła nowego kochanka nad wszelkie nadzieje. Pieniądze całej czeredy spłynęły mu do rąk.

Juliusz nie pozwolił olśnić się niespodzianym błyskom fortuny, przebaczył przyjacielowi niedawną jego odmowę, kilkakrotnie przyszedł mu w pomoc; wygrawszy następnie od niego znaczne summy, nie domagał się gotówki, szlachetnie poprzestał na obligu, który w jednej kwocie dźwigał na sobie pożyczone i wygrane, co do wypłaty zaś, przyrzekł niewyczerpaną cierpliwość z warunkiem przyjacielskiego wynagrodzenia ośmiu od sta na rok. Żydzi brali piętnaście, trzydzieści, czasami nawet i więcej.

Ponieważ atoli wszyscy jesteśmy śmiertelni — tak przynajmniej dotąd bywało — Juliusz rzucił nawiasową uwagę, że nieźle byłoby zaciągnąć oblig na hypotekę, chociażby dla tego, aby zawczasu zająć miejsce wierzycielom mniej wyrozumiałym, mniej przywiązanym do ukochanego dłużnika.

Juliusz zaczynał spokojniejszem okiem spoglądać w przyszłość; świeżo zdobyte łupy, przy zręcznym obrocie, do końca życia obiecywały mu niezawisły byt. Wywłaszczony z rodzicielskiej spuścizny, wpadał znowu na tor stania się wiejskim właścicielem, przemyśliwał nawet zawczasu nad nowym sposobem urządzenia dóbr, żywił na dnie myśli zamiary godne pierwszych obywatelskich wieńców, szeroko i głośno w stosownej porze o nich rozprawiał.

Marzenia te wszelako nie zaprzątały mu głowy, z uszczerbkiem wymóg serca—przeciwnie; bystrzej niż kiedykolwiek rozwijały w nim uczucia. Przy pożegnaniu z przyjacielem nie mógł pohamować tkliwych uniesień, czule przyjaciela uściskał, zaręczył mu, że nie zostawi go długo samotnym, że po załatwieniu rachunków z niektóremi ofiarami swego szczęścia, nie omieszka poprosić o kilka dni gościnności.

Wilczek straciwszy miasto z oczu, odetchnął. Z radosnem uczuciem ujrzał przed sobą daleką drogę, z radośniejszem jeszcze spoglądał na przestrzeń wyciągającą się między nim a Lwowem. Głęboka cisza okolicy dziwnym dyszała wrażeniem po hałaśnem życiu galicyjskiego grodu. W uszach tętniły mu jeszcze, zgiełk wczorajszej bachanalii, ostry brzęk kielichów, wrzawa hucznej biesiady, namiętne wykrzykniki graczów. Wzdrygał się, chmurzył twarz wyrazem oburzenia i niesmaku. Niebem pokazała się mu samotność. Błękit widnokręgu, lasów zielenie, spokojny wdzięk natury, nigdy tak silnie i żywo nie odbijały się w jego duszy. Pogrążony w obłędnych myślach, marzył o wszystkiem i o niczem, ścigał fantastyczne zwoje obłoków, lubował się szybkością, z jaką przedmioty mknęły mu przed oczyma. Na przeszłość gniewał się, ale jej nie żałował, przyszłość jasno rozglądał, ale się jej nie lękał.

Osobiste jednak położenie aż nadto wystarczało do zaprawienia mu myśli frasunkiem.

Ostatni pobyt we Lwowie naraził go na ciężkie, niepowetowane straty.

Ha mniejsza z tem — niech je piekło pochłonie!... Nieodrodny słowiański syn, o wszystko troszczył się więcej niż o majątek. Najdotkliwszy ubytek przyjmował obojętnem wzruszeniem ramion; w zwykłem nawet usposobieniu, wesoło byłby powitał zupełną utratę własności. Życie bez dostatków łatwo się dało zrozumieć; z głową na karku w każdym razie można było sobie poradzić.

Minął dzień, minęła i noc. Służba pocztowa wiedziała kogo wiezie; nie szczędziła koni. Wilczek dostrzegł nareszcie czerwony dach pałacu, wysokie drzewa, zielone gęstwiny starego ogrodu, znajomy wzgórek nad rzeką. Zmrużył oczy, wzrok dłonią przysłonił, zdało się mu, że na tle szmaragdu ujrzał blask białej postaci. Raz jeszcze a bystro spojrzał; nie mylił się, a przecież gdyby nie powiew wiatru marszczący lekko fałdy odzieży, zdaleka mógł był białe zjawienie wziąść za grobowiec z marmuru.

Kazał zatrzymać konie, wyskoczył z powozu i na przełaj, ubocznemi ścieżkami, osłonięty gąszczem liści, ostrożnie przemykał ku wzgórkowi.

Doszedłszy prawie do celu zatrzymał się niepostrzeżony, rękę położył na piersiach; serce gwałtownie mu biło; zapewne od zbyt pospiesznego biegu.

Na kobiercu zielonej murawy, do pół wyciągnięta, wsparta na dłoni, w postawie przypominającej Magdalenę Correggia, Nastusia zatracona Bóg wie w jakich myślach, machinalnie skubała stokrotkę.

Wiatr unosił blade listki kwiatu, nie bledsze od liliowego lica dziewczyny; na pochylonych jej ku ziemi powiekach, niby krople dyamentu chwiały się dwie grube łzy—cała historya życia Nastusi.

Wilczek rozchylił cichaczem gałęzie, i z tym uśmiechem, jakim w chwilach swobody nieprzyjaciół nawet rozbrajał — nagle stanął przed zadumaną.

Dziewczyna podniosła głowę, zerwała się, chciała krzyknąć, chciała ku niemu pobiedz; ani na głos, ani na ruch siły nie stało.

Wilczek postąpił ku niej, otworzył ramiona. Jako kwiat burzą złamany, padła mu w objęcia cała drżąca, niepewna rzeczywistości objawu, niedowierzająca prawdzie, zalękła o przebudzenie, gotowa z rozkoszą umrzeć na lubych piersiach, spragniona życia, które niespodzianie otwierało jeszcze przed nią taki skarb szczęścia.

On byłby rad spojrzał jej w oczy, ukoił, upieścił, rozpromienił stroskaną twarzyczkę. Ona nie chciała podnieść głowy, tuliła mu do łona blade oblicze, cisnęła go w objęciach, nie mogąc przemówić słowa, aż wreszcie zalała się łzami.

W podobnych łzach byłaby z radością wypłakała duszę, ale łez takich oddawna już nie znała; inne, gorzkie i palące, częściej bróździły jej lica.

Wilczek sam był wzruszony. Szaleniec! daleko gdzieś gonił za mętami wzruszeń, podczas gdy u boku miał niewyczerpany zdrój czystych dla serca pieciech.

— Uspokój się, luba — mówił, głaszcząc bursztynowe włosy dziewczęcia — na przyjazd mój zanosisz się od płaczu; dla samej siebie, gdy mnie niema, zachowujesz uśmiechy. Pokaż oczęta Nastusiu; dawno ich nie widziałem. Długo byłaś samą, przebacz moja miła, człowiek nie zawsze jest panem swego czasu. Ale poco przedłużać chwile rozstania? Spieszyłem co siły — wracam, ty kryjesz się przedemną, i znowu czas tracę i jeszcze cię widzieć nie mogę.

Dziewczyna podniosła pół twarzy, bluszczowo oplotła mu w okół szyi ramiona, uśmiechnęła się, błysnęła perłowemi ząbki, patrzyła w niego jak w cudowny obraz.

— Udobruchałaś się niedobre dziecko! niedość — winnaś mnie drugie oko, ale bez łez. Łzy dziś ci nie przystoją—dziś i nigdy. Nie pozwalam płaczu. Przyrzeknij poprawę, ja przysięgnę nawzajem, że odtąd domku naszego nie opuszczę. Pragnę odetchnąć przy tobie, odetchnąć całą duszą. Miałem także wiele zmartwień, wiele kłopotów; gdybyś wiedziała luba, jak skołataną mam głowę! Jeżeli przy tobie nie wypocznę, nie odżyję — nic już ze mnie nie będzie. Przed sobą samym do ciebie uciekam i dopóki zechcesz, przy tobie zostanę. Chyba, że ty się ze mną znudzisz, że sama mnie odprawisz?... Nie odpowiadasz moja miła — jeszcze na mnie się gniewasz?...

Nastusia znowu skryła mu głowę na piersiach, Wilczek czuł łoskot jej serca.

— Za całą odpowiedź, bicie serca?... — mówił pieszczącym głosem. Cóż czynić, muszę i na tem poprzestać, wyznam jednak, że spodziewałem się innego przyjęcia. Myślałem, że wybiegniesz ku mnie różowa, wesoła, że skrzętna gospodyni, ugościsz mnie w twoim domku, że pokażesz kwiatki twoje i ptaszki i książki, że opowiesz co porabiałaś podczas mojej nieobecności, jak wiele o mnie zapomniałaś, jak prędko sobie przypomnisz? Wielki Boże—co widzę?... u rękawów i u kołnierza czarne zaściążki! Zkądże przyszedł ci na myśl ten żałobny strój?... Niema co mówić, pięknie mnie przyjmujesz!

Nastusia uskoczyła mu z ramion, zakryła rączkami nieszczęsną barwę zaściążek, i szybko jak strzała pomknęła ku swemu domkowi.

Wilczek stał z założonemi ramiony, ścigał wzrokiem uciekającą, patrzył jak mu migała przed oczyma śród ciemnej krzewów zieleni, a gdy nareszcie znikła, wolnym krokiem za nią podążył.

W domku drzwi znalazł otwarte, ale nikogo na progu. Wszedł wewnątrz, rad opatrzeć te miejsca, z których każde budziło w nim tyle słodkich wspomnień.

(Dalszy ciąg nastąpi).